

Marzena Dobosz, *Historia o rzeczach*

„Miasteczko Poznań” 1(33)/2019, s. 108-113

„To jest historia o rzeczach. I jeszcze o gadaniu. Czyli – o słowach i przedmiotach. Jest to także książka o mojej matce, i z tego powodu nie będzie wesoła” – tak Marcin Wicha rozpoczyna „Rzeczy, których nie wyrzuciłem”, książkę uhonorowaną podwójną Nagrodą Nike 2018: literacką i czytelniczą. Z inspiracji „Rzeczami...” oraz wcześniejszą książką „Jak przestałem kochać design” powstał spektakl Łukasza Wojtyski i Magdy Szpecht „Rzeczy, których nie wyrzuciliśmy” w Teatrze im. Fredry w Gnieźnie. Przedstawienie trudne, ale budzące w widzach niepohamowaną potrzebę opowiadania własnych historii o rzeczach i ludziach.

Otoczają nas rzeczy. Gromadzimy je przez całe życie, komponujemy z nich własną przestrzeń. A kiedy umieramy, ktoś musi uporządkować nasze mieszkania. Zdecydować, co wyrzucić, co sprzedać, a co zostawić. Ktoś musi zdekomponować tę misternie tkaną codzienność naszego życia. Marcin Wicha w rozmowie z Andrzejem Franaszkiem w radiowej Dwójce mówił, że po śmierci bliskiej osoby najbardziej wstrząsające jest nie to, że mieszkanie pustoszeje po wyniesieniu z niego książek, ubrań i przedmiotów należących do zmarłej czy zmarłego, lecz ten pierwszy moment, w którym wszystkie te przedmioty przestają tworzyć sensowną całość, kiedy związki pomiędzy nimi wiotczeją, bo brakuje tego, kto je łączył.

Swoista inwentaryzacja dobytku po śmierci matki w „Rzeczach, których nie wyrzuciłem” (a wcześniej po odejściu ojca w „Jak przestałem kochać design”) była dla autora – jak mówił podczas ceremonii wręczenia Nagrody Nike – nie tylko pretekstem do wspomnienia rodziców i próbą ich opisu poprzez wybrane rzeczy, które z nimi kojarzył, lecz także okazją do stworzenia uniwersalnej opowieści o tym, że życie każdego z nas składa się z niepotrzebnych przedmiotów, słów, obrazków. Materialnych świadectw przechowujących pamięć o ludziach, którym były kiedyś potrzebne.

Twórcy gnieźnieńskiego spektaklu wykorzystali nie tylko fragmenty tekstów Marcina Wichy, lecz także wspomnienia trojga słuchaczy tamtejszego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, a przedstawienie zostało pomyślane jako „lokalna odpowiedź na książki Wichy” – jak mówiła jego reżyserka Magda Szpecht. Dodatkowo scenografia została skomponowana z wyjętych z magazynu niepotrzebnych już rekwizytów teatralnych, które Michał Korchowiec poukładał w

gablotach przypominających ekspozycję muzealną (choć przecież pozostałości po dawnych inscenizacjach trafiają do muzeów z rzadka, większość kończy w szafach i skrzyniach gdzieś w piwnicach, a pozostałe na śmietnikach).

Przestrzeń sceniczna „Rzeczy, których nie wyrzuciliśmy” wygląda więc niczym wyjęta z witryny osiedlowego second-handu – mnóstwo przedmiotów z własnymi zapomnianymi historiami, a często nawet z trudnym do odszyfrowania przeznaczeniem: do czego mógł służyć ten wihajster, komu sprawiała radość ta różowa włochata kula... Nic tu do niczego nie pasuje. W tej pozornie przypadkowej instalacji troje aktorów (Kamila Banasiak, Zuzanna Czerniejewska i Jan Niemczyk) i troje bohaterów opowieści o rzeczach z przeszłości (Lucyna Kaszyńska, Stefania Wojciak i Marek Szymaniak) odgrywają na scenie – a właściwie na sceno-widowni i wokół niej – rodzaj performance’u. Budują z rekwizytów przedziwne konstrukcje, których struktura wymyka się prostym zależnościom skutkowo-przyczynowym. Z pudełek, sznurka, starych szuflad itp. powstaje rodzaj maszyny Goldberga – wymyślnej maszynierii pełnej dźwigni, przekładni, wahadeł, działającej na zasadzie domina (np. płomień świecy przepala sznurek, odskakuje napięta listewka, która uderza w klocek, otwiera się zapadka, wyskakuje kulka, ta z kolei popycha inny element, który... itd.).

Tym sposobem rzeczy – wydawałoby się – nieprzydatne już do niczego znajdują jakieś drugie życie, wracają do gry, o czym pięknie pisał Kornel Filipowicz:

„Przedmioty tymczasem starzeją się, pokrywają się kurzem, rdzą, matowieją, pękają, rozkładają się, z wolna umierają. Czasem ich śmierć polega na tym, że zachowują swój kształt i strukturę, ale umiera w nich dusza. Tracą sens swojego istnienia, gdyż nie są już zdolne do odegrania żadnej roli”¹.

Druga szansa dana zapomnianym szpargałom jest ważna w kontekście współczesnego nadmiaru rzeczy. Dawniej – w czasach, które dobrze pamięta jeszcze pokolenie rodziców Marcina Wichy – urządzenia działały latami, popsute oddawało się do naprawy, cerowało się dziurawe skarpetki, ze sprutych swetrów dziergało się kolorowe szaliki, a z gałganków plotło chodniki. Dziś rzeczy jest za dużo. Wszystko się wyrzuca, nawet książki (bo nieliczne działające jeszcze antykwariaty już ich nie potrzebują). Na scenie gnieźnieńskiego teatru – do wtóru niepokojącej muzyki Krzysztofa Kaliskiego i opowieści bohaterów spektaklu – odbywają się więc rozmaite „recyklingowe” działania performansowe: aktorzy – na równi z rzeczami – są twórcami, ale i tworzywem żywej maszynierii z rysunków Goldberga.

¹ Kornel Filipowicz, *Spółdzielnia „Czystość”, czyli opowieść o bałaganie, starzeniu się i początkach wielkiej dezorientacji*, [w:] *Koncert f-moll i inne opowiadania*, Kraków 1982, s. 130.

Ten nadmiar może męczyć, choć historie opowiadane przez aktorów w imieniu obecnych na scenie gości, są bardzo wzruszające, jak na przykład cudowna opowieść o pożyczaniu sobie po sąsiedzku pralki Frani, urządzenia, które swego czasu rewolucjonizowało gospodarstwa domowe. Widzowie jednak mogą poczuć się zagubieni: część sceny zamieniono na widownię, dla reszty widzów pozostawiono niskie niewygodne ławki bez oparcia ustawione bokiem do wydarzeń rozgrywających się na scenie. Twórcy spektaklu nie pomyśleli o najważniejszym składniku teatru: widzu. Powstało przedstawienie dla młodych, sprawnych i odpornych na długotrwałe przebywanie w niewygodnej pozycji. A przecież szkoda tematu, który wydaje się stworzony dla ludzi dojrzałych i starych, mających za sobą doświadczenia opisywane przez Marcina Wichę, własne relacje o międzypokoleniowej wymianie rzeczy i o pamięci w nich przechowywanej.

Twórcy „Rzeczy, których nie wyrzuciliśmy” słusznie zauważają jednak, że nie tyle rzeczy są ważne, ile ich konfiguracje. Rzeczy wyjęte ze swoje pierwotnego kontekstu tracą swoje znaczenie. Oglądając spektakl Magdy Szpecht nie mogłam nie myśleć o rzeczach zgromadzonych w jednym z obiektów muzeum byłego niemieckiego Obozu Zagłady Kulmhof w Chełmnie nad Nerem, gdzie zatrzymałam się w drodze z Warszawy do Gniezna. W dawnym spichlerzu, który – podpalony przez uciekających Niemców – spłonął wraz z zamkniętymi w nim żydowskimi więźniami pracującymi na rzecz obozu, znajduje się ekspozycja rzeczy należących do ludzi tam zamordowanych. Wśród wyeksponowanych przedmiotów są głównie rzeczy osobiste: okulary, przybory toaletowe, naczynia i sztuce, papierosnice i zapalniczki. Nie wiemy niczego o ludziach, do których należały, ale wiemy, że komuś je odebrano w najbrutalniejszy sposób. I mimo że od Zagłady upłynęło tyle lat, a może właśnie ze względu na ten zwiększający się dystans czasowy, wobec istnienia jej w słabnącej pamięci lub jedynie w postpamięci, będą nam te rzeczy o niej przypominać:

„Jedyna, najważniejsza zapewne, funkcja metonimicznego istnienia przedmiotu odsyła ku ludziom niegdyś go używającym lub posiadającym. Rzeczy snują narracje o człowieku i jego śmierci i tym samym wywołują szczególne zderzenie pomiędzy teraźniejszością a przeszłością, pomiędzy zbiorowiskiem ocalałych przedmiotów a całością życia” – pisze Bożena Shallcross w „Rzeczach i Zagładzie”².

„**Rzeczy, których nie wyrzuciliśmy**”. Scenariusz i dramaturgia Łukasz Wojtysko na motywach „Rzeczy, których nie wyrzuciłem” oraz „Jak przestałem kochać design” Marcina Wichy, reżyseria Magda Szpecht, scenografia Michał Kotchowiec, muzyka Krzysztof Kaliski, wideo art Wojtek Doroszuk, fonosfera Maciej Szymborski, występują: Kamila Banasiak, Zuzanna Czerniejewska i Jan Niemczyk oraz gościnnie: Lucyna

² B. Shallcross, *Rzeczy i Zagłada*, Kraków 2010, s. 8.

Kaszyńska, Stefania Wojciak i Marek Szymaniak; **premiera: 1 lutego 2019 r. w Teatrze im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie.**